

Spotkanie Tulambi

24 lutego 2012

Czy są jeszcze na świecie ludzie z epoki kamiennej, którzy nigdy nie widzieli białego człowieka?

Nowa Gwinea to największa po Grenlandii wyspa na świecie. Ma powierzchnię ponad dwa razy większą od Hiszpanii i kształt jakby prehistorycznego gada. Podzielona jest równo niemal na pół: zachodnia część gada wraz z głową należy do Indonezji, wschodnia z ogonem i przyległymi wyspami stanowi niezależne państwo Papua Nowa Gwinea (PNG) ze stolicą w Port Moresby.

Kręgosłup gada przebiegający przez cały środek ogromnej wyspy od wschodu do zachodu stanowi pasmo wysokich i rozległych gór porośniętych aż po szczyty gęstym tropikalnym lasem deszczowym. Od niepamiętnych czasów tamtejsze plemiona papuaskie żyją w zupełnej wzajemnej izolacji, zwłaszcza w górach, zwykle nie przekraczając naturalnych granic rzek i strumieni, aby uniknąć zadawnionych wojen i zemsty. Często mieszkają w warownych wioskach na szczytach gór, za osłoną przemyślnych pułapek na leśnych ścieżkach, co przypomina zaminowane granice w wielu rejonach współczesnych konfliktów. To częściowo wyjaśnia dlaczego tylko 4 mln Papuasów mówi aż 700 językami i dialektami. Zdarza się jeszcze obecnie odkrywać plemiona, które dotąd nigdy nie miały kontaktu ze światem zewnętrznym. Jednym z nich ma być nieznane dotąd plemię Tulambi, o których doniesiono z serca Gór Hagen. Belgijski etnograf i antropolog Jean-Pierre Dutilleux postanawia zweryfikować tę wiadomość osobiście. Przybywa helikopterem do wioski górskiego plemienia Uja-Uja, stosunkowo wysoko ucywilizowanego ale jeszcze do niedawna uwikłanego w typowe dla tych gór konflikty z sąsiadami. Tereny plemion górskich są wciąż uznawane przez rząd w Port Moresby za strefę tłącej się wojny i waśni plemiennych. Z wioski Uja-Uja wyprawa wynajmuje przewodnika i tragarzy, którzy mają doprowadzić belgijskiego badacza do krainy Tulambi. To właśnie Uja-Uja jako pierwsi

dowiedzieli się o istnieniu Tulambich i weszli z nimi w kontakt. Jeśli to prawda, to Tulambi byłiby żyjącym reliktem epoki kamiennej. Wyprawa ma zapasy na trzy tygodnie. Jest początek pory deszczowej.[1]

Jean-Pierre Dutilleux (JPD) jest etnografem, który poświęcił się sprawie ratowania i ochrony ostatnich, najbardziej pierwotnych ludów natury na ziemi. W tej okolicy większość plemion dżungli nawiązała kontakt z białymi w czasie gorączki złota w latach 1930. Do tego czasu ich sposób życia trwał bez zmian przez tysiące lat i nie różnił się od epoki kamiennej. Biali byli uważani za bogów lub duchy przodków, które przybyły z krainy umarłych. Po poszukiwaczach złota do wiosek górskich przybyli misjonarze, przynosząc ze sobą nowe idee, narzędzia i lekarstwa. Misjom niechętny jest jednak ostatnio rząd w Pt. Moresby, który chce aby plemiona pozostawiono w spokoju. Wiele plemion odczuło to bowiem jako nieznośna presję, przed którą wiele wiosek przeniosło się głębiej do dżungli. Powrócili tam do stanu pierwotnego i do swych wierzeń. Co jakiś czas odkrywa się takie „powtórnie zdziczałe” plemię i ogłasza światu jego odkrycie jako dotąd zupełnie nieznanego. To właśnie chce wykluczyć JPD. Do niedawna Uja-Uja wiedzieli o Tulambich tylko z dawnych legend i mitów. Ale niedawno wójt wioski Uja-Uja, niejaki Waway znalazł zbłąkane dziecko Tulambi nad rzeką, która stanowi granicę ich terytorium. Odprowadził je do wioski w lesie i wtedy nastąpił kontakt z bardzo już nieliczną grupą, silnie przetrzebioną przez malarię. Posługują się narzędziami z kamienia i nigdy ponoć nie mieli kontaktu z zewnętrznym światem. Waway prowadzi wyprawę.

Wyprawa przedziera się przez coraz gęściejszą dżunglę, stopy JPD atakują pijawki, opada ich dokuczliwe robactwo, nocami część tragarzy ucieka. JPD który od wielu lat podróżuje do plemion w najbardziej zapadłych zakątkach świata, uważa że dżungla Amazonii w porównaniu z górami Nowej Gwinei to dziecinne przedszkole. Wreszcie po czterech dniach docierają do rzeki, nad którą Waway znalazł dziecko Tulambich. Jest to

zadziwiająco duża i wartka rzeka, wezbrana po pierwszych obfitych opadach pory deszczowej. Przerzucają przez nią pień drzewa jako most i Waway przechodzi na terytorium Tulambich, aby ich spotkać i zachęcić do przyjscia nad rzekę. Wabikiem ma być informacja, że dostaną leki na malarię, która ich osłabia i dziesiątkuje. Reszta wyprawy czeka. Mijają dni, stale pada deszcz, zapasy żywności topnieją.

Waway wraca po trzech dniach. Spotkał tylko niewielu Tulambi, którzy zostali w międzyczasie zaatakowani przez inne plemię, przez co są bardzo nieufni i czujni. Namówił jednak małą grupkę do kontaktu i spodziewa się że wkrótce przyjdą. Na drugi dzień po drugiej stronie rzeki pojawiają się grupka: dwaj mężczyźni, jacyś chłopcy, kilka kobiet z dziećmi. Dwóch dorosłych mężczyzn i wyrostek ruszają na spotkanie JPD. Są uzbrojeni, zachowują się niezwykle nieufnie, wielokrotnie wchodzą na pień i cofają się, czujnie mierząc z łuków. Nigdy przedtem nie widzieli białego człowieka, uważają go za ducha z krainy przodków. JPD przyjaźnie rozkłada ręce, pokazuje że nie ma broni, wyciąga ku nim torebki z lekami gestem oferowania prezentu. Widać, że przybyszami miotają sprzeczne uczucia i przeżywają wielki stres. Poruszają się niepewnie, krok w tył, dwa kroki w przód. W pewnej chwili machając prezentami ku gościom JPD pośliznął się na mokrym pniu, stracił równowagę i przewrócił się na moment. Wydaje się, że to ośmieliło tubylców: bogowie i duchy raczej nie upadają. Podchodzą bliżej, ale napięcie wzrasta: JPD czuje ich pokusę, aby strzałą z łuku sprawdzić, czy biały ma zwykłe ciało z krwią w środku, czy może jest raczej duchem. Pierwszy z nich próbuje odstraszyć go krzykami i machaniem topora na długim trzonku. Wreszcie wszyscy rezygnują i cofają się za rzekę.

Tam następuje przegrupowanie. Mężczyźni każą kobietom odejść dalej i ukryć się a na spotkanie rusza ten sam oddział powiększony o jeszcze jednego wyrostka. Za nimi dwa chude, nieduże psy. Tym razem ich determinacja wydaje się większa. JPD znowu unosi prezenty.

Dwaj mężczyźni i dwaj chłopcy przechodzą na drugą stronę rzeki po śliskim pniu drzewa. Są jakby mniej bojaźliwi i już nie napinają ani nie celują z łuków. Zwłaszcza jeden z nich, dość przystojny i o inteligentnej twarzy, ten sam który i przedtem szedł jako pierwszy, podchodzi bardzo blisko. JPD wyciąga rękę. Mężczyzna waha się, ogląda ją uważnie, ale boi się dotknąć. Jeśli biały jest duchem, to dotknięcie ducha może oznaczać niebezpieczny kontakt ze śmiercią, z krainą zmarłych przodków. Jest ostrożny. Sprawdza czy wszystko ma na sobie i przy sobie. W pewnej chwili zauważa filmującego go Filipa, kamerzystę. Podchodzi jeszcze bliżej. Uważnie wpatruje się w oko kamery. Z bliska widać, że ma nawet ładną twarz – wąski nos, wysokie czoło, krótki zarost. W przegrodzie nosa i on i drugi mężczyzna, chyba trochę starszy, mają białe kostki ze skrzydła niełotnego kazuara, które na Nowej Gwinei są amuletem zapewniającym szybkość i wytrwałość w biegu. W wełnistych włosach na głowie obaj mają purpurowe pióra rajskich ptaków. Są żyłaści i szczupli, mają na sobie spódniczki z włókien pandanusa, na ramieniu plecione torby z jakimiś rzeczami. Ten pierwszy mężczyzna, który nosi piękny sznur muszelek kauri, podchodzi bliżej do pracującej kamery. Dla bezpieczeństwa przekłada na prawe ramię kamienny topór na długim trzonku, tak aby mógł szybko zadać nim cios z ramienia. Taki cios byłby z pewnością śmiertelny. Przytrzymuje trzonek lewą ręką w której trzyma drzewce łuku i sześć długich trzcinowych strzał. Ostrożnie wyciąga wolną prawą rękę i dotyka kamery albo ręki Filipa. Reaguje jakby go przeszył prąd i odskakuje chwytając za topór. Po chwili ponawia dotknięcie i reaguje tak samo. Ogląda się do tyłu i ręką daje znaki swym towarzyszom aby się wycofali. Jest napięty, strzela oczami na boki. Próbuje dotknąć kamery, czy też ręki Filipa po raz trzeci, ale wycofuje się w stronę JPD, który na wyciągniętej dłoni oferuje przybyłym sól. Chyba wie co to jest, bo próbuje jej palcem do języka. Tymczasem do kamery podchodzi drugi z mężczyzn. Wyczuwa niebezpieczeństwo, bo jego oddech przyspiesza. Teraz widać w zbliżeniu, że chodzi o dotknięcie białej ręki Filipa. Dłonie zbliżają się do siebie niczym na fresku Michała Anioła

na suficie Kaplicy Sykstyńskiej. Kapitalna scena. Ten też reaguje po dotknięciu jakby raził go prąd. Ponawia dotknięcie drugi, potem trzeci raz. Napięta twarz, niemal słysząc bicie serca i widać stres. Jego topór, a właściwie pałka z kamienna głowica, jest przywiązana postronkiem do przegubu prawej ręki, tak że może ją puścić i potem łatwo złapać. W końcu wraca bliżej rzeki do towarzyszy.

Tymczasem JPD już usiadł na pniu i demonstruje przybyszom zapałki. Ten pierwszy mężczyzna sprawdza czy to prawdziwy ogień. Dotyka i parzy się w palce. Musi ochłodzić rękę w wodzie rzeki. To samo ten drugi, który wydaje się nieco mniej nieufny. Ten pierwszy przyjmuje do ręki nową zapałkę i rozgryza jej główkę próbując smaku. Pluje z obrzydzeniem. JPD daje temu drugiemu pudełko zapałek. Dar ognia robi dobre wrażenie – nawet jeśli JPD jest żyjącym zmarłym, to nie stanowi bezpośredniego zagrożenia. Ten drugi dotyka wreszcie ręki JPD. Podają sobie prawice, dłonie bez broni. To chyba kluczowy moment dla kontaktu. Obaj mężczyźni skwapliwie, pośpiesznie i z wielkim zainteresowaniem oglądają ręce JPD, dotykają go czy nie jest pomalowany, sprawdzają czy ma ciepłą skórę i twarde mięśnie. Nie, to nie duch, to prawdziwy człowiek! JPD też ich dotyka, maca ich skórę i mięśnie. Wychodzi na to, że jednak spotkali się żywi ludzie! JPD pokazuje na swą twarz, oczy, zęby, zdejmuje czapkę. Jego długie włosy budzą zdumienie, ale to tylko włosy. Przybysze zaczynają rozmawiać z ożywieniem między sobą, podchodzą obaj chłopcy, też dotykają JPD, podają mu ręce, uśmiechają się... Lody pękły, napięcie ustąpiło, kontakt został nawiązany.

Przez pień nad rzeką przechodzą teraz zaciekawione kobiety z dziećmi. To dobry znak. Przybysze przyjmują sól i zapałki, następuje nauka jak ich używać. JPD uczy się imion swych nowych znajomych: ten pierwszy to Andżijo, ten drugi to Sandżuga, chłopcy to Mandirai i Nagaja. Cała grupa tubylców powoli i ostrożnie eksploruje obozowisko białych ludzi. JPD pokazuje im lustro wiedząc z literatury etnograficznej,

jakie wrażenie robi ono na większości ludów natury. Nigdy dotąd nikt z nich nie widział samego siebie z wyjątkiem drżącego i niewyraźnego odbicia w wodzie. Boją się tej sztuczki. Andżijo bierze lustерko do ręki ale dla pewności zakrywa je liściem i sprawdza co jest pod spodem, nieufnie zagląda z drugiej strony, potem się ożywia. JPD pokazuje im także stalowy nóż, próbuje nim ciosać gałązkę, potem dziabie nim spróchniały kawał drewna. Mężczyźni porównują to z jakością swego kamiennego topora. Omijają epoki brązu i żelaza. Szok.

Większość z przybyszów, a zwłaszcza dzieci, nosi na sobie plecione peleryny z ubitej kory lub ręcznie utkanych włókien roślinnych, podobne do jutowych worków i z grubsza chroniące przed ciągle padającym tu deszczem. Po przełamaniu pierwszej nieufności cała grupa Tulambi przyjmuje zaproszenie do odpoczynku w obozie białych i zasiada do posiłku. Metalowe naczynia to kolejne wielkie zdziwienie, ale prawdziwą sensacją okazuje się zupełnie dotąd nieznany ryż. Sandżuga najpierw podejrzliwie wachając sprawdza białe ziarno palcami. Czyżby biali dlatego byli biali, że jedzą takie białe coś? Andżijo próbuje pierwszy, ale ryż mu nie smakuje, wypłuka go na bok z obrzydzeniem. Kiedy jednak JPD dodaje troszkę soli, ryż zaczyna mu smakować. Kilkakrotnie uderza się pięścią w głowę, co w języku ciała tambylców oznacza z pewnością „to jest dobre”. Jest to sygnał dla innych aby też spróbowali. Sandżuga z miejsca staje się entuzjastą ryżu: twarz mu się rozjaśnia, wiele razy bije się pięścią w głowę. JPD podaje im ryż na łyżce. Łyżka, jak wiadomo z wojska, składa się z trzymadełka i komory zupnej. Tulambi nie wiedzą jak jej używać i okazuje się, że jej kształt niczego nie podpowiada – raz trzymają z jednej, raz z drugiej strony, ale po chwili jedzą po swojemu sięgając po prostu ręką i oblizując sobie palce. Ożywiają się, próbują wszyscy, kobiety, dzieci, widać że im smakuje.

W tym czasie Sandżuga, trzymając na ręku małe dziecko (a dzieci są u Tulambich wyjątkowo ciche i spokojne) po cichu

zaspokaja swą ciekawość przeglądając sprzęty w obozowisku – ostrożnie dotyka naczyń, podnosi je, zagląda pod spód... robi to uważnie i metodycznie, niczego nie potraça i nie uszkadza. Kamerzysta Filip filmuje go z ukrycia. Widać, że tubylcem kieruje tylko ciekawość. Nie ma w nim żadnej chciwości, żadnej myśli o kradzieży, na co tak często narzekali także dawniej podróżnicy i odkrywcy odwiedzający bardziej zdemoralizowane plemiona. To też jest dowód na to, że Tulambi wcześniej nie stykali się z cywilizacją białego człowieka, nie znają wartości dotykanych przedmiotów, a więc i ich nie pożądają.

Wkrótce cała grupa wchodzi do obozu, pod foliowe namioty i oglądają wszystko z nabożną ciekawością. Andżijo ostrożnie próbuje strugać patyk scyzorykiem. Ma bardzo zniszczone ręce. Prawdopodobnie jest przywódcą tej grupy, odpowiedzialny i ostrożny, czujny na każdy głos także zachwytu u dzieci, które właśnie oglądają kamerę. Sandżuga, który ma osobowość bardziej przyjazną i śmiałą, bierze ja do ręki. Andżijo jakby trochę strofuje swoich ludzi podniesionym głosem. Powraca mu niepokój. Jak rozładować stres? Najlepiej zapalając papierosa. Okazuje się, że Tulambi znają dziki tytoń, zbierają go w dżungli i palą w swych wielkich fajkach. Andżijo po swojemu zapala tradycyjną hubkę w zawiniątku z liści i wkrótce zarówno on jak i Sandżuga okrywają się kłębamii uspokajającego dymu. Nikotyna to prawdopodobnie najbardziej popularny narkotyk pierwotnych plemion. Mówi się że po odkryciu Ameryki biali rozpili Indian alkoholem, ale ci zemścili się od początku dając białym tytoń, który rozsiano po całym świecie.

Robi się późno i niezwykle dzień dobiega końca. Grupa Tulambi powraca na drugi brzeg i znika w swoim deszczowym lesie. JPD obawia się, że to już koniec kontaktu. Jednak nazajutrz jest czas na rewizytę. JPD przybywa do leśnej kryjówki Tulambich. Jest ich tu więcej, w tym jeszcze jeden dorosły i dostojnie wyglądający mężczyzna z pięknym kościanym naszyjnikiem. JPD chce się dowiedzieć więcej. Są inteligentni i nie różnią się wyglądem od innych ludzi z wyspy. Może nie mieli do czynienia

z nowoczesnymi przedmiotami, ale przecież musieli widzieć przelatujące nad górami samoloty. Co o tym sądzą? Stanowią to, co JPD nazywa Czwartym Światem: plemiona na peryferiach cywilizacji, przeważnie ukryte w lasach tropików, nie uczestniczące w wymianie gospodarczej i zasadniczo unikające kontaktów jakby instynktownie wiedząc, że niszczą one ich świat ich dusze i ich kulturę. Niewiele już zostało takich grup – trochę w Amazonii, trochę na Nowej Gwinei.

Mieszkają w szczelnie pokrytych liśćmi wiatach. U siebie czują się swobodnie, słysząc rozmowy, kobiety bardzo sprawnie wyplatają siatki z miękkiego naturalnego włókna. Mężczyźni bardziej dbają o wygląd niż kobiety: naszyjniki, ptasie pióra we włosach, włosy podcinane bambusowym nożem... Muszą wyglądać atrakcyjnie, aby kobiety chciały się z nimi zadawać i aby mogli mieć potomstwo. Ojcowie mają znakomity kontakt z dziećmi. Są to zbieracze i myśliwi, żyjący w pełnym zanurzeniu w swoje środowisko.

Są życzliwi wobec JPD. Andżijo pokazuje mu jak wyrabiają swoje strzały i groty oszczepów. Potem przychodzi czas na naukę ich języka. Jednakże JPD nie jest chyba lingwistą, bo pytania nieudolnie i uzyskiwane odpowiedzi nie zasługują na zaufanie, że zostały dobrze zrozumiane. Słówka, które sobie zapisuje w notesie nie mają wartości porównawczej, jeśli miałyby służyć do ustalenia językowego pokrewieństwa Tulambich.

Niebo nad dżunglą się przejaśnia i Tulambi zabierają JPD na polowanie. Idą za nimi dzieci z wioski, przyzwyczajone do cichego chodzenia po lesie, aby nie płoszyć zwierzyny. Na Nowej Gwinei nie ma jej zresztą wiele, głównym źródłem białka są ryby, ptaki i inna drobnica, w tym owady. Polują przy użyciu strzał, także na ryby w wodzie. Chroniczny niedobór białka to źródło powszechnego niegdyś na Nowej Gwinei ludożerstwa oraz popularności późniejszej hodowli świń, graniczącej z ich kultem. Tulambi nie są kanibalami ani nie mają świń, ale troska o pożywienie zajmuje im cały dzień. Wiedzą które liście i owoce są jadalne, gdzie można znaleźć

bulwy i korzenie, kiedy pojawiają się jaja ptasie albo jadalne larwy owadów. Nie mają czasu na filozofię, sztukę, wyrafinowaną kulturę. Walczą z malarią, na którą prawie wszyscy chorują.

Przez następne trzy dni Tulambi odwiedzają obóz JPD. Już się go nie boją. JPD wie, że może ich utrzymać blisko siebie tylko dając całej grupie jedzenie, bo wtedy nie muszą polować i nie odchodzą daleko. Ale w ten sposób zapasy szybko się kończą. Nadchodzi czas, kiedy każda grupa musi powrócić do swego świata. Andżijo, który zaprzyjaźnił się z JPD najbardziej udziela mu ostatnich lekcji języka Tulambi.

Za pośrednictwem Wawaya jako tłumacza JPD nakłania Andżijo, aby opowiedział do magnetofonu swoją historię w języku Tulambi, a następnie aby coś zaśpiewał. Potem odtwarza mu jego głos z nagrania. Widać zakłopotanie Andżijo. Mężczyzna aż wstaje i odchodzi do tyłu drapiąc się w głowę. Tyle tu cudów! JPD wywiązuje się też z obietnicy danej Tulambim na początku przez Wawaya: leki. Rozdrobniona w łyżce wody chinina z dodatkiem witamin ma okropny gorzki smak, ale matka pozwala wlać ten koktajl do ust swemu dziecku. To zresztą było ważnym celem wyprawy – pomóc tym ludziom zwalczyć malarię. JPD uczy ich jak używać chininy i zostawia zapas białych tabletek na sześć miesięcy. Pakuje je w foliowe torebki, żeby nie przemokły. Liczy na to, że rząd PNG będzie dostarczał je później.

Na pożegnanie wszyscy Tulambi śpiewają gospodarzom obozowiska swoją pieśń pożegnalną. Widać że kiedyś musiał to być taniec pożegnalny. Kiedy Tulambi musieli uciekać przed wrogami, stracili swoje bębny, typowe dla całej Nowej Gwinei przenośne dwustronne bębny naszyjne, używane w tańcach i paradach, ale teraz symbolicznie używają w tej roli swoich fajek. Śpiew jest jękliwy i monotonny, ale twarze przyjazne i uśmiechnięte. Bardzo wzruszająca i bardzo ludzka scena.

Śpiew jeszcze trwa, kiedy pierwsze kobiety z dziećmi, potem

starsze dzieci, oba psy, a wreszcie wyrostki i mężczyźni przechodzą przez chwiejny, śliski pień na drugą stronę rzeki. Pora deszczowa już w pełni i wody rzeki wezbrały jak kawowa lawina. Powoli Tulambi znikają w swoim lesie. Andżijo, który zamyka pochód popędza swoich ludzi ręką aby szli dalej, ale sam odwraca się jeszcze kilka razy i macha przyjaźnie ręką na pożegnanie. Znow piękna, wzruszająca scena.

Kiedy Tulambi zniknęli, naruszony wieloma przejściami pień spada z podmytego brzegu i zostaje porwany przez wartki nurt rzeki. Symboliczny i prowizoryczny most przestaje istnieć. Oba światy rozchodzą się.

Autor: Bogusław Jeznach

Źródło: [Nowy Ekran](#)

PRZYPIS

[1] Film o Tulambi można zobaczyć pod adresem: <http://www.youtube.com/playlist?list=PLDC18DFDFCB095300&feature=viewall>